



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincji z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincji z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół, kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

POGA WĘDKA

Sprawa Pomnika Mickiewiczowskiego stanęła znowu na dziennym porządku rozpraw naszej prassy i ogółu. Właśnie bowiem w zeszłą Środę, d. 10 Lutego, wystawiono w krakowskich Sukiennicach modele pp. Gadomskiego i Rygiera, wykonane w gipsie, według szkicu narysowanego przez Jana Matejkę; w pięć zaś dni później, t. j. w Poniedziałek, zebrać się miał komitet budowy pomnika, celem powzięcia ostatecznej uchwały i zdecydowania o rozpoczęciu właściwych robót, mianowicie, już nie nad szkicami i projektami, lecz około samego pomnika.

Jakie uchwały zapadły na wspomnianem walnem posiedzeniu, o tem do chwili, w której słowa te kreślić nam wypadło, nie mamy żadnych wiadomości.

W braku tego, oraz z zastrzeżeniem, iż nie pragniemy bynajmniej przesądzać uchwały, jaka może w Poniedziałek zapadła, winniśmy na podstawie relacji z Krakowa, zdać sprawę z wrażenia, jakie wystawione modele wywarły na naoecznych świadkach.

Jakkolwiek głośno uroczyscie, iż Matejko, rysując projektu na papierze, nie pragnie w niczem krępować niezbędnej dla rzeźbiarskiego dłuta swobody, to jednak szkice wykonane przez pp. G. i R., są niewolniczymi kopiami rysunków mistrza, jeżeli zaś noszą pewne zmiany, to tylko te, jakie sam Matejko uważał za stosowne wprowadzić w swoim pierwotnym a znanym powszechnie z opisów rysunku: mianowicie, płaską i pustą tylną ścianę pomnika—(błąd ten był bardzo zrozumiałym w projekcie malarza)—zastąpiono tym razem grupą trzech rzek, skopiowaną z do-

datkowego rysunku Matejki. Resztę pozostawiono bez zmiany, mimo, że projekt mistrza Jana, co do niektórych szczegółów, zwłaszcza postawy i ubioru wieszca, spotkał się z swoim czasie z surową krytyką wielu bezstronnych piór i umysłów, a doznał też ostrej oceny od J. I. Kraszewskiego, w Listopadzie r. z., w osobnym artykule, pomieszczonej w mickiewiczowskim numerze „Kraju.”

Z tych słów naszych czytelnik domyśli się już zapewne, iż wrażenie, jakie wywarły na widzach modele rzeźbiarskie, nie było zupełnie dodatniem i wolnem od pewnego rodzaju zdziwienia, a nawet rozczarowania.

Tak było wistocie.

Oto bowiem, jak się modele przedstawiają. Na podstawie o trzech stopniach siedzi na kwadratowym bloku Mickiewicz. Głowa podniesiona, oczy wpatrzone gdzieś w dal, włosy rozrzucone, na nich zaś wieniec laurowy. Wieszcz okryty jest płaszczem, z pod którego wyglądają — gołe nogi. Piers również odkryta. Postać cała czyni wrażenie lirnika słowiańskiego, Bojana lub Werinyhory. U stóp jego spoczywa palma z napisem: „wieszczowi.”

Na pierwszym stopniu klęczy, na jednym kolanie, skrzydlaty geniusz. Jedną ręką wskazuje na wieszca, drugą uwalnia z pęt wielkiego orła. Z boku, na stopniu drugim, stoi postać niewieścia, silnie udrapowana. Jedną ręką podtrzymuje ona fale swych gęstych włosów, w drugiej zaś trzyma kaganiec ze światłem.

Na piedastale napis: „Nazywam się milion...” Wreszcie dodać należy, iż według projektu, wszystkie figury, nie wyjmując postaci wieszca, odlane być mają z brązu, reszta akcesoryów pomnika wykonaną będzie w marmurze.

Oto wszystko...

Zgodzono się już dawniej, iż w projekcie powyższym wiele szczegółów jest trafnych lub świetnie obmyślanych — i tesame zdania sły-

chać i obecnie. Atoli słuszność wielu zarzutów Józefa Ig. Kraszewskiego co do postaci wieszca, teraz dopiero, po odtworzeniu rysunku Matejki w gipsie, wyszła na jaw w całej swej plastycznej ostrości. Ten Mickiewicz z obliczem ascety, z wieniec na głowie, prawie nagi, bo tylko na bokach i biodrach przykryty kawałkiem płaszcza, nie będzie nigdy streszczać ustalonych wyobrażeń ogółu, nie może przemawiać do tłumów.

Oto głośny powód pewnego rozczarowania naoecznych świadków, o jakim wspomniemy powyżej.

Drugim i najgłośniejszym jego powodem jest owa niewolnicza scisłość, z jaką pp. rzeźbiarze stosowali się w modelach swych do rysunku Matejki. Pod tym względem ogół doznał zawodu. Niedawno jeszcze bowiem i *Czas* i *Przegląd* lwowski, a więc organa pomawiane o ciągłą styczność z projektodawcą i z wykonawcami, zapewniały, że projekt Matejki, we własnym przekonaniu mistrza ma być tylko szkicem, modelem, który pod dłutem pp. Gadomskiego i Rygiera zastosowany zostanie wybornie do wymagań rzeźby.

Tymczasem okazuje się, że albo dzienniki te źle były informowane, lub też, idąc wydeptaną przez siebie drogą „ostrożności,” zawczasie starały się uciszać niepokojącą się tą sprawą ciągle opinią publiczną.

Faktem jest bowiem, że modele rzeźbiarskie nie okazały żadnej samodzielności.

Postać wieszca nie została nawet na cal jeden okryta więcej płaszczem, niż była nim okryta na rysunku, a i wszystkie inne akcesorya, pełne, bezwątpienia poletu, fantazyi, ale niezupełnie godzące się z tradycyjnym klasycznym spokojem rzeźby, pozostały nienaruszonymi.

Oile się więc zdaje, wpadliśmy z jednej ostateczności w drugą.

Po nader skromniutkim, gładkim i niepokaźnym projekcie Dykasa, posiadamy obecnie mo-

del za szumny, za kosztowny, zamało przykuwający uwagę do głównej figury a temsamem i nie czyniący tego wrażenia, jakiego od rzeźby, od dzieła plastyki, świat przywykł wymagać. Tem zaś gorzej, że jak wspomnieliśmy, krytycznych a racjonalnych głosów w tym względzie nie brakło. Wśród nich zaś, oile się zdaje, zdanie Kraszewskiego powinno było zaważyć na szali; sędziwy jubilat bowiem złożył już niejednym wymownym dowód swego wysokiego w tym kierunku znawstwa, a o stronniczość nie mógł być chyba pomówionym.

Cokolwiekby jednak, wypada nam obecnie wstrzymać się z dalszemi uwagami, aż do ogłoszenia uchwały plenarnego posiedzenia komitetu. Wśród jego członków, oile nam wiadomo, panowało podobno przekonanie, iż dalsze próby są zbyt ciężkie i pomnik takim, jakim jest w modelach, wykonać należy. Nie podobna zaś przypuścić, aby liczny ów i dobrany komplet, mający w swym łonie niejednego poważnego znawcę, mógł się zupełnie mylić co do wartości świeżych modeli lub też lekko sprawę tak świętą traktować.

Być więc może, iż wszystkie te echa krakowskie, które tu z obowiązku kronikarskiego staraliśmy się streścić, zawierają zawiele żalów lub przesadzają sprawę o tyle, że komitet mógł nakazać niejedną jeszcze zmianę, zwłaszcza w głównej figurze pomnika, w postaci Mickiewicza.

Jeżeli tak będzie — ucieszymy się z tego bezwątpienia wszyscy. Co zaś do nas specjalnie, prosić będziemy w takim razie, w następnej naszej gawędce z czytelnikami, aby nam skwapliwość, z jaką postąpiliśmy tu w zarejestrowaniu powyższych głosów policzoną była na karb owej troski, jaką każdego napawa tak długo ciągnąca się, a tak ważna sprawa.

* * *

Za dni kilka obchodzony będzie w mieście naszym jubileusz lekarski.

Oto Dr. Ignacy Baranowski, zasłużony profesor b. Szkoły Głównej, a następnie i uniwersytetu warszawskiego, kończy właśnie 25 lat swej wielce pożytecznej pracy publicznej, a zarazem opuszcza umiłowaną przez siebie katedrę.

Naturalnie, obchód jubileuszowy urządza przede wszystkim tutejsza korporacja lekarska, ale bezwątpienia uczestniczyć w nim będą, choćby myślą tylko, bardzo szerokie koła uczniów i wdziecznych pacjentów szanownego profesora.

Zresztą dowodów uznania już dziś jubilatowi nie braknie, a są między niemi, obok czysto „honorowych“, i takie, które otwierają przed nim nowe pole... pracy.

Do pierwszych należy obdarzenie go przez Towarzystwo Lekarskie jedną z najwyższych i wyjątkowo przyznawanych godności: tytułem „członka honorowego“ — do drugich wybór na wice-prezesa w Kassie Pomocy Naukowej Mianowskiego; „Medycyna“ zaś zapowiada, iż mająca się odbyć w dniu 27 b. m., uroczystość jubileuszowaznaczona będzie prawdopodobnie jakimś trwałym pomnikiem, mianowicie: fundacją imienia Dra Baranowskiego. Nic słuszniejszego!...

Tyle niemal lat, ile wysługi publicznej liczy świeży jubilat, czeka na swe urzędystwienie, ważna sprawa utworzenia w Warszawie wyższego zakładu naukowego technicznego. Projekt ten, poruszany od r. 1879 kilkakrotnie bez skutku, wypłynął znów obecnie na wierzch i, oile się zdaje, oparł się tym razem na przychylniejszym dla siebie gruncie.

Oto przypominano, że władza wyższa niegdyś już łaskawą o tym projekcie wyraziła opinią, zgodziła się wówczas przyjąć nową szkołę pod swe protektorstwo, a nadto obiecała jej udzielić rocznie 15,000 rs. zasiłku i oddać na jej użytek jeden z gmachów publicznych tutejszych. Cała rzecz rozbiła się wówczas o programat wykładów, ministeryum bowiem pragnęło naprzód zbadać wogóle kwestyę wychowania realnego w całym państwie.

Obecnie następuje sposobność ominięcia tych trudności przez zastosowanie mającej powstać nowej szkoły do programatu politechniki założo-

nej w r. z. w Charkowie i bardzo być może, iż sprawa ta dobry obrót weźmie.

Co zaś do braku politechniki w naszym mieście, przynosi on nam głębsze i poważniejsze szkody, niżby to z pozoru zdawać się mogło. Oto odstręcza znaczną część młodzieży od szukania chleba na drodze technicznej i powoduje przez to przeludnienie na innych polach pracy. Dalej, przyczynia się do germanizacji, albowiem przymusza do sprowadzania z Niemiec wykwalifikowanych sił technicznych, których my dotąd bardzo mało procent dostarczamy. Są jeszcze i inne szkody; ale sądzymy, że już te dwie wystarczą do postawienia gorącego życzenia, aby projekt ten znalazł się jaknajprędzej w dziedzinie faktów.

Na szczęście, wybrana dla jego popierania delegacja (z łona Towarzystwa Przemysłu i Handlu), złożona z ludzi czynnych i energicznych, daje tym razem gwarancją, iż rzecz, oile możności nie będzie przewlekana.

Tem większą też w takich czasach uwagę zwrócić na siebie musiała niezwykła wystawność, z jaką odbyło się w Manchesterze naszym, w Łodzi, wesele przedstawiciela głośniejszej tamtejszej firmy przemysłowej p. Scheiblera, z przedstawicielką innej podobnej firmy miejscowej.

Echami zbytków z okazji tej wyprawianych, przepełnione były przez dni parę wszystkie nasze pisma. Dość powiedzieć, że wesele trwało niemal tydzień cały, a na jadła, napoje i t. p., wydano podczas tych uroczystości kilkadziesiąt tysięcy rubli.

A jednak krytyka złożyła tym razem swe kołace pióro, i to wcale nie ze względu na przysłówie o Tomku i domku. Oto pan młody, pragnąc dorównać w zbytkach dawnym Radziwiłłom, nie zapomniał o pracownikach których znojem wzniosła się dzisiejsza jego fortuna: owszem, polecił zarówno wszystkim pracownikom swoich fabryk jak i fabryk swojej narzeczonej, wypłacić tygodniową pensją. Otóż ten ostatni „zbytek“ zrównoważył i okupił wszystkie poprzednie, albowiem owa wypłata tygodniowa wyniosła około 60,000 rubli!

* * *

Karnawał tymczasem dąży ku końcowi — i to bez szczególniejszego, jak na jego niezwykłą długość, ożywienia. Wprawdzie żadnemu z urządzonych dotąd balów publicznych nie brakło tancerzy i tancerek, i o prywatnych zabawach również dość się można nasłuchać, po większej jednak części wszyscy „bawią się“ tak, jakby spełniali jakiś obowiązek.

Nic też dziwnego, że przez ubiegłe dwa tygodnie więcej między paniami słycać było rozmów na temat ich dzielnego obrońcy z parlamentu niemieckiego, zacnego Windthorsta, niż o strojach i przyjęciach karnawałowych.

Atoli mimo braku owego szczególniejszego ożywienia tanecznego, pora obecna nie bardzo sprzyja myślącym lub duchowym rozrywkom.

Oto przyjechał Grünfeld, tensam, na którego koncerta przepłacaliśmy bilety, przed trzema laty — i było pusto w sali podczas dwukrotnych jego obecnych występów. Przybył inny, również wytworny gawędziarz fortepianowy, Włoch Cesi, i doznał tegoż samego losu, a podzieliły go z nim dwie także znakomite artystki: wiolinistka Soldat i śpiewaczka Barbi. Zwłaszcza zaś ta ostatnia godna była słyszenia, jako prawdziwa w swym rodzaju gwiazda. Słusznie też krytyka przyznała jej tytuł: „estradowej Patti“ — jest ona bowiem istotnie na estradzie koncertowej takim fenomenem, jakim na scenie była niegdyś Patti.

Tak więc tańczymy, jakby za pańszczyznę, w teatrze nas niema (z wyjątkiem na „Chacie za wsią“), nie zajęci też jesteśmy chwilowo żadną szczególnego rodzaju pracą społeczną: cóż więc robimy?

I oto postawiliśmy sobie pytanie, na które na razie brak nam odpowiedzi. Na szczęście mamy na zebranie potrzebnych informacji dwa tygodnie czasu do nowej gawędki!...

BOŻY GNIEW

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Na swoje lata miał on już dosyć doświadczenia, a na wpół sierota, zmuszony zawczasu sam sobie rady dawać i matce pomagać jeszcze, bardzo szczęśliwie, śmiało i zręcznie walczył z losem. Piękna powierzchowność, czemś bardzo szlachetnym się odznaczająca, uprzedzała o nim dobrze, a wrażenie to nie zawodziło. Umiał sobie pozyskać miłość tych wszystkich, do których go wypadki zbliżały; ani nazbyt zuchwały ani zbyt trwożliwy, co jeszcze bywa szkodliwszem. Dyżma miał wielką przytomność umysłu i odwagę, niczego się nie zląkł, a ludzie mu nie imponowali. Na dworze, co bardzo rzadka, łaska pańska nie robiła mu nieprzyjaciół, bo jej nigdy nie użył przeciw nikomu; kochali go towarzysze, którym pomagał chętnie; a że pilnym był i wiodło mu się w spełnianiu rozkazów, król się nim bardzo chętnie posługiwał. Gdziekolwiek trudniejsze jakie przychodziło do rozwiązania zadanie, powoływał Strzębosza, który się nie wymawiał.

Gdy Dyżma się cofnął do przedpokoju, wszyscy towarzysze przywitali go tam wesołym śmiechem. Dla wielu z nich owe amory jego były rzeczą nową, mało kto się ich domyślał; mało też kto i Biankę widywał, bo ją matka szczególnie przed oczyma dworskiej młodzieży ukrywała. Zaczęto i przesładować i winszować. Strzębosz w milczeniu wąską pokręcał, stojąc zadumany.

Wtem Bertoni też zamasztyło wybiegła z pokoju króla, drzwi zatrzasnęła za sobą i ani patrząc na dwór, który szyderskiem prychnieniem ją witał, wybiegła na kurrytarz.

Strzębosz zrazu chciał pójść za nią; rozmyślił się potem i pozostał, a tuż i król go już wołał do siebie.

Łatwo się było domyślić, że ta indagacja nastąpić musi, gdyż nawet w najważniejszych stanowczych chwilach życia swojego Jan Kazimierz się nie mógł powstrzymać od chętki słuchania skandalicznych powiastek, która bez względu na godność swoje od najposledniejszych ze sług wymagał. Bawiło go to, ale zarazem zbytnie spoufalalo ze służbą i nigdy też karności najmniejszej wśród dworu jego nie było. Niekiedy król uciekać się musiał do najostateczniejszych środków, do własnoręcznego karcenia zuchwałych, ale i to nie na wiele pomagało. Stawiono mu się zuchwale, lekceważono jego powagę. Nigdzie usługa nie była gorszą, niż u niego.

Przywołany Dyżma wszedł śmiało i stanął przed oczekującym nań Kazimierzem, który ciekawemi mierzyl go oczyma.

— Cóż to ty nabroił? — uśmiechając się, zapytał król — mów mi wszystko... Bertoni przecie córki, jak oka w głowie pilnuje: jakżeś się ty tam potrafił dostać, zbliżyć?

Strzębosz dumiał i widać było, że ten examen nie był mu miły.

— N. Panie — rzekł — widywałem ją na ulicy, w kościele, w oknie. Zresztą wszystko się na tem kończy, zem patrzył i wzdychał, a ona mi oczyma odpowiadała. Próbowałem list pisać, ale ten złapała matka, i ztąd burza powstała.

— No, a dziewczę? jakże ono dysponowane dla ciebie? — badał ze zwykłą ciekawością Jan Kazimierz — co myślisz?

— Myślę, że mi dosyć sprzyja — rzekł Strzębosz — ale to jeszcze dziecko jest; bawi ją to, a Bóg wie jeden, czy serce się w niej rozbuździło.

— Porzucisz więc ją? — szepnął król.

Namyslał się nieco dworzaniin.

— N. Panie — odparł — nic nie wiem i za nic

nie ręczę, co los zdarzy. Bertoni z komara zrobiła wół. Nie mogłem się nawet przybliżyć do dziewczęcia, ani z nią rozmówić: a ta już takiej narobiła wrzawy, jakbym do domu jej wtargnął.

— Powinieneś to wiedzieć — szepnął król popufale — że Włoszka wysoko patrzy i dla córki wiele pretenduje, a ma poniekąd słusność. Dziewczę, mówią, bardzo piękne?

Tu król się zatrzymał i spojrzął, a Strzębosz potwierdził.

— Jak anioł.

— No — i wychowane starannie, a ta przemyślna, skąpa, drapieżna matka, piękne jej wiano zbierze. Będzie niewątpliwie bogatą: widzisz więc....

Dworzanin się pokłonił.

— Widzę, N. Panie — odparł — że sprawa trudna, ale nie zrozpaczona.

Na okazyi odznaczenia się w wojnie zbywać nam nie będzie; ja się zaciągnę, a chyba Bóg nie łaskaw, żebym się czego nie dosłużył.

I Strzębosz z głębokim pokłonem, odszedł ku drzwiom, okazując wstręt do zwierzeń, których król był tak łakomym.

Nazajutrz wybierano się do Nieporętu, a słotna pora jesienna wszystkim, począwszy od pana do ostatniego pacholika, lice zasępiła. Nikomu się nie chciało opuszczać Warszawy, właśnie gdy ona zjazdem na elekcyą ożywić się miała.

Pozostawał na zamku tylko dwór królowej wdowy, której pobytu nie można było wzbronić, gdyż urzędownie w elekcyi żadnego ona udziału nie brała i nie miała interessu.

Dwór Króla Szwedzkiego pierwszy wyciągnął z zamku, tuż za nim miał książe Karol wyruszać do Jabłonny, lecz w ostatniej chwili wstrzymać się kazał swoim ludziom, dopóki brat nie wyjechał.

Książe Biskup walczył jeszcze z sobą: czy na odjeździe miał się pokłonić królowej Maryi Ludwice, jak wypadło może, lub pominąć to wymaganie form etykiety.

Przyboczna rada jego, nie umiała mu nic powiedzieć, oprócz, że Jan Kazimierz zadość uczynił temu obowiązki. Dla Księcia Karola od dawna było jawnem, że królowa stroną starszego brata trzymać będzie; zdawało mu się jednak, że zrywać głośno z tego powodu, okazać żal było niepolitycznem. W chwili więc już gdy prawie wsiadał do kolebki, wysłał biskup do ks. Fleury, z którym był dosyć dobrze, pytając: czy może pożegnać królową?

Zapytanie, to wysłane przez dworzanina, dość długo pozostawało bez odpowiedzi, lecz w ostatku przyniesiono ks. Karolowi wiadomość, iż królowa oczekuje na niego.

Wolałby był stokroć, aby mu się wymówiła czemkolwiek od przyjęcia, lecz cofnąć się już było zapóźno. Spotkanie to przykre, nie mogło mieć żadnych następstw: było ofiarą dla przyzwyczajenia, której biskup uchybić nie chciał ze swej strony.

Królową w towarzystwie ks. de Fleury i pani des Essarts zastał już w salce posłuchalnej, oczekującą jego przybycia.

Z uprzejmym tym, wyuczonym uśmiechem dni powszednich, jakim zawsze i wszędzie zmuszoną była witać gości swych królowa, z powagą, która ją nigdy nie opuszczała, przyjęła królewicza Karola.

Czuła się swobodną, gdy on wchodził widocznie zmieszany i przygnębiony. Wymownym nie będąc nigdy, teraz mniej, niż kiedy mógł się zebrać na słów kilka.

Zamruczał zbliżając się o pożegnaniu, o niemylim wyjeździe z Warszawy.

— W. książęca mość, łatwo mogliście uniknąć przymusu do tej podróży — śmiało odezwała się królowa.

Ks. Karol zaciął usta i odparł prawie gniewnem wejrzeniem.

— Tak — rzekł, zaczynając się już burzyć — ale raz wciągnięty i namówiony na to, abym stanął pomiędzy kandydatami, nie mogę i nie chcę się już cofnąć. Korona ta — dodał — tak dziś jest nieopętną i ciężką będzie do dźwigania, że pożądanie jej, jak męczeństwa, nikomu być za złe

wziętem nie może. Z mej strony, mogę zaręczyć w. król. mości, jest to ofiara dla tej Rzeczypospolitej, na której łonie urodzony, czuję się jej dzieciem. Wszyscy wiedzą, jak ukochałem życie ciche i odosobnione, ale dziś nie o sobie myślę musimy.

— Nikt lepiej tej ofiary ocenić nie potrafi na de mnie — ceremonialnie poczęła królowa — patrzyłam na to, jak nieboszczyk król miał wiele do zniesienia, a dziś w grobie mu nawet pokoju nie dają. Potwarz go ściga, zmarłego

Ze spuszczeniem oczyma słuchał książe Karol. — Najsmutniejszym jest dla mnie — dodał cicho — że zmuszony będę występować przeciwko bratu, który po tylu próbach jeszcze nie jest zrażony.

Marya Ludwika odpowiedziała wejrzeniem tylko znaczącem; ażeby zmienić tok rozmowy, spytała o mieszkanie w Jabłonie, uzalała się nad niewygodami.

Obojętnych kilka pytań i odpowiedzi zamknęły na ostatek obojgu ciężką rozmowę. Kilka kroków ku drzwiom odprowadziła gościa królowa, i książe Karol za progiem odetchnął swobodniej.

Gdy się to działo na zamku, a senatorowie bardzo jakoś opieszale się ściągali, ks. Albrecht, kanclerz litewski, i znaczniejsi panowie zawczasu starali się obmyślić, jak przysły sejm i narady prowadzić miano, aby uniknąć rozterki gorszącej, wymówek późnych i próżnych, straty czasu niepowetowanej. Wiele było nie do uniknięcia; inne sprawy jedne drugimi musiały być równoważone i spychane.

Tworzyły się już powoli gromadki, które pewne wnioski popierać miały, innym zapobiegać, nie mał wszyscy się godzili na to, że wybór śpieszny panującego był najpilniejszym zadaniem. Znaczna większość trzymała za Królem Szwedzkiem, niewielu zalecało biskupa, tylko z jego ładu i gospodarności, chwalać go za wysłanych kilkuset ludzi do Baru.

Zaledwie dwaj wygnani kandydaci mieli czas się rozgospodarować w Jabłonie i Nieporęciu, gdy goście do nich zaczęli napływać z Warszawy. Ks. Karol, zazwyczaj oszczędny, musiał się dla nich okazać szczodrym i gościnnym, a Jan Kazimierz, któremu na środkach zbywało, nie mógł się też dać mu wyprzedzić. Z wielką troską o to, pomimo starań Butlera, przybył do czasowej rezydencji, ale tu po raz pierwszy dała mu się uczuć niewidoma pomoc ręki, którą łatwo było odgadnąć.

Nie pochodziło to wprost i jawnie od królowej, lecz nie mogło od nikogo innego. Królowi zbywało na wszystkim, na kredensach, naczyniu i zapasach, a wszystko to cudownie się jakoś nastroczało i przychodziło z łatwością drogami różnemi, prawdziwą opieką Opatrzności.

Starosta dziwił się i cieszył.

Król nabierał otuchy i wieszował sobie porozumienia z królową.

Współzawodnictwo jednak z ks. Karolem zawsze było groźnem, gdyż biskup miał pieniądze i nie żałował ich teraz.

Pomiędzy braćmi z każdym dniem rozterka, niechęć rosły.

Król Szwedzki, który nieopatrzny był w mowie i pohamować się nie umiał, powtarzał uwłaczające bratu plotki. Przenosiły się one przez usłużnych, na dwu stolkach siedzących zauszniaków i pasożytów z Nieporętu do Jabłonny i rozbudzały tam mściwość, a tem upartsze przeciwdziałanie.

Nigdzie w czarniejszych barwach nie malowano Jana Kazimierza, niż na pokojach biskupa, i tu po raz pierwszy puszczone tę prawdziwą czy fałszywą plotkę, iż Król Szwedzki miał się wyrazić głośno, jakoby psa włoskiego więcej cenil nad polskiego szlachcica.

Z drugiej strony wysmiewano się z księcia Karola, który miał powiedzieć, że na koń gotów się iść i na wojnę ciągnąć, do czego tak mało był podobnym, iż obietnica ta wydawała się szyderstwem.

— Jeżeli Rzeczpospolita innych obrońców mieć nie będzie nad jemu podobnych, to ją Kozacy zjedzą! — wołali Kazimierzowscy.

Stronnicy ks. Karola nastawali na to, iż nigdy i nigdzie Jan Kazimierz wytrwać nie umiał, wszystko łatwo sobie obrzydzał i coraz nowego czegoś się chwycił. Wiedzieli oni o przepowiedni świątobliwego Józefa z Kopertynu, który miał wcześniej zawyrokować, iż Jan Kazimierz, ani mnichem, ani kardynałem nie będzie długo, a gdyby mu się nawet korona dostała, królem nie umrze, bo i tę porzuci.

Płochy ten charakter, zabawianie się rozmowami lekkomyślnymi, towarzystwo najulubieńsze królów, błaznów, małp i t. p., wyrzucano przysłemu królowi, gdy ks. Karol, sumienny i poważny, obiecywał siłą charakteru, którego dał dowody, wyrobić na sobie, co chciał.

Na stateczności jego polegać było można.

Obie strony wywlekały z przeszłości czego tylko przeciwko sobie, jako oręża, użyć mogły.

Nazajutrz wiedziano w Nieporęciu, co mówiono wczoraj w Jabłonie, i nawzajem, a niechęć braci przeciwko sobie rosła. Nie było to już współzawodnictwo kandydatów do korony, ale nieprzyjaźń ludzi, którzy sobie nigdy wzajemnych uraz przebaczyć nie mogli.

Przy takim usposobieniu obu stron wszelkie pokuszenia się o jakieś porozumienie, przedsiębrane przez Ossolińskiego, Radziwiłła i kilku duchownych, do niczego doprowadzić nie mogły. Rozjątrzenie z każdym dniem rosło, a rozrzutność ks. Karola, który pomimo oszczędności sypał pieniędzmi, spodziewając się Kazimierza niemi zwyciężyć, była najlepszym dowodem nieprzyjaźni wzmożonej do najwyższej potęgi.

Ks. Karol, który czuł i widział, że poza Janem Kazimierzem stała królowa Marya Ludwika, na nią też miotał potwarze i zawczasu przepowiadał kazirodce małżeństwo, którem szlachtę mógł oburzyć przeciwko swemu współzawodnikowi.

Stare i nowe przeciwko królowej zarzuty Karolowi zwolennicy wyciągnęli na jaw i przepowiadali na przyszłość, gdyby Kazimierza obrano, panowanie przewrotnej niewiasty. Z bólem serca senatorowie widzieli to rozjątrzenie wzmagaające się i rosące. Jednym z najczynniejszych pośredników, którzy o pojednaniu nie zwątpili do ostatka, był ks. Albrecht Radziwiłł, kanclerz litewski. Działał on na korzyść Kazimierza, we spółce z królową, a z nim siedł, choć mniej czynny jawnie, Ossoliński. Spodziewał się on tym sposobem przy dawnym swym wpływie i znaczeniu utrzymać, a nienasyconą jego ambicyą w panowaniu słabego Kazimierza wiele sobie wistocie obiecywać mogła.

Nadzwyczaj zrzeczne było postępowanie litewskiego kanclerza, który znał ludzi i posługiwać się umiał nimi. W rękach jego stawali się bezwiednie narzędziami tacy, którym on swe przekonania narzucał, jako ich własne. Nie mogąc sam zbyt często ukazywać się w Jabłonie, gdzie choć go uprzejmie bardzo przyjmowano, nie ludzono się wiele jego życzliwością, Radziwiłł nasyłał tam biskupów i duchowieństwo, aby odradzało ks. Karolowi najpierw współzawodnictwo bezskuteczne, a w najszcześliwszym razie koronę, która była ciężarem zbyt wielkim dla pobożnego kapłana, zmuszającym zmienić cały tryb życia i nawyknięcia niemal od kolebki przyjęte.

Ks. Karol jednak dotąd nie dawał się wzruszyć i zachwiać, trwał uparcie przy swoim i składał się gromadką niewielką, która go popierała. Ślepym się zdawał być na to, iż ona w senacie nie miała prawie żadnego znaczenia, a między szlachtą wpływ wątpliwy bardzo.

Pomimo wszystkich tych złudnych obietnic i nadziei, jakimi karmiono ks. Karola, nadto on był rozsądnym i znał ludzi zbyt dobrze, by w końcu nie zwątpić w głębi duszy o powodzeniu swej kandydatury. Olbrzymie wydatki, którym nie było końca, zaczęły go też zniechęcać, lecz nie okazywał tego po sobie, a ile razy wysłańcy kanclerza przybywali, wdychając i zachęcając do zgody i porozumienia, ks. Karol z gwałtownością wielką oświadczał, że za nic nie zrzecze się kandydatury.

Bystre oko Radziwiłła dostrzegło już jednak różnicę wielką w księcia Karola mowie i postępowaniu, od czasu wyjazdu z Warszawy.

Pomoc królowej coraz jawniejsza, odebrana wiadomość pewna o tem, że poseł francuzki listy króla swojego polecające Rzeczypospolitej Jana Kazimierza już otrzymał, że Stolica Apostolska podobne za ex-kardynałem wysłała, przybyli wreszcie biskupa i odjęli mu odwagę.

Sama już tylko miłość własna trzymała zniechęconego na stanowisku.

Wysocki, Czyski i Niszczycy, najczynniejsza owa trójka w gospodzie nad Wisłą, przez swych wysłańców do Jabłonny usiłowała ks. Karolowi dowieść, iż szlachta mazowiecka, najliczniejsza na elekcyjnym polu, musiała tu przeważną odegrać rolę, a jej okrzyki wezmą górę i inne województwa pociągną za sobą.

Można też powiedzieć, że obaj kandydaci do korony, w ciągłej niemal gorączce, nie mieli wiele czasu do namysłów. Nie było w Nieporęcie i Jabłonie dnia bez gości z Warszawy; mieniali się oni nieustannie i rozgorączkowanie powiększali jeszcze.

W każdej z tych dwu rezydencji przeważali życzliwi i podbudzający do wytrwania, a stronnictwo Jana Kazimierza szczególnie rosło i coraz się okazywało czynniejszym. Z królowej nie napozór poznać nie było można: nie mówiła chętnie o elekcyi, chciała się okazywać obojętną; z Radziwiłłem jednak była otwartą i za jego pośrednictwem szły z jej strony pomoce, rady i skazówki.

Kancelarz zresztą ilekroć się spotkał z ks. Karolem, otwarcie się przed nim przyznawał do popierania Kazimierza, nakłaniając go, aby pojednał się z nim i Rzeczypospolitę ułatwił elekcyą, która była kwestyą życia lub śmierci.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Kraków, w Styczniu 1886 r.

W dniu wigilii, na parę godzin przed rozpoczęciem bratnich uctw wigilijnych, przeciągał przez nasze miasto kondukt pogrzebowy, otaczający trumnę człowieka znanego na szerokich przestworach ziem naszych... była to trumna Artura Bartelsa. Niepospolitego uzdolnienia, pełen humoru, ten pieśniarz, a potrosze rysownik i muzyk, również dobrze był znany w mieście naszym, gdzie ostatnich kilkanaście lat życia przeżył i gdzie grób znalazł, jak i na obszarach za Narwią i Bugiem, w owych zapuszczańskich krajach, co patrzyły na jego kolebkę, rozwój talentu i znacznie większą życia połowę. Bartels przed laty mieszkał, to w Wilnie, to w Bierzach. Talent zmarłego odznaczał się pewną oryginalnością, w każdym z trzech kierunków; podziwiano w nim pieśniarza, humorystę, rysownika i muzyka, ale przeważnie, jako piosenkarz był on znany, ceniony, a nader popularny. Mieniono go niekiedy polskim Béranger'em, i ten przydomek poniekąd słusznie mu się należał: pewne powinowactwo talentu łączyło ich i zbliżało chociaż nasz piosenkarz posiadał dowcip mniej palący, niż pieśniarz francuzki. Przyroda krajiny puszczy i zębów, gdzie przed siedmiesięciu prawie laty ujrzał świat, przyroda stanowczo odmienna od innych, nadaje swym synom indywidualizm nader charakterystyczny, a sympatyczny zarazem. Piętno tego indywidualizmu wybitnie zarysowywało się w Bartelsie, nadając utworom jego pióra pewną melancholijność: i ta cecha, w połączeniu z mocno wybujałym uczuciem przywiązania do gleby rodzinnej, łagodziła ostrość jego satyry, karcącej ułomności społeczne, lecz z miłością i braterską pobłażliwością. Było w nim dużo humoru, lecz świeci ów humor pospolicie zpoza łez.

Już w pięćdziesiątych latach naszego wieku popularnymi były jego obrazki społeczne, pełne humoru, w których łączył prace pióra z pracami ołówka, gdyż również textu, jak i ry-

sunków, był on autorem. Szkice te obyczajowe, jak „Pan Atanazy Skorupa, człowiek postępowy“, „Łapigrosz“ i in.), weszły do „Albumu Wileńskiego“, wydawanego niegdyś przez J. K. Wilczyńskiego. Do charakterystycznych właściwości pióra Bartelsa zaliczamy pewną podniosłość myśli, która zawsze w jego piosnkach się spotykała; znać w nim było człowieka, co nigdy, nawet w chwilach rubasznej wesołości, nie zapominał, iż pióro szanować należy; nie zniżał przeto poziomu swej satyry do pamfletu; uderzał na usterki, wady, nigdy na pojedyncze osobliwości; dlatego też jego piosenki chętnie czytano, śpiewano, deklamowano, rozwożono po kraju, biegły one szybko z ust do ust i długie lata cieszyć się będą zasłużoną popularnością.

Pamięci zmarłego pieśniarza nieco dłuższy ustęp poświęcamy, niż to zwykł czynić ołowek sprawozdawcy, szybko notujący wypadki i zjawiska życia codziennego. Bartels bowiem nie był jednym z tłumy; wyróżniał się z szeregu ludzi dzisiejszych, z szeregu naginających swe usposobienia do panującej obecnie atmosfery zubożnienia na wszystko. Kochał gorąco społeczeństwo i troska o jego jutro była jedną z przyczyn, co przecięły tę szlachetną nić żywota. Po jego zgonie trudno dostrzedz choćby talent tego rodzaju i tej miary na naszej niwie piśmienniczej; piosnka lekka, satyryczna, piosnka obywatela-poety w fałdach lekkiej szaty ukrywająca niejedną myśl poważną, ze zgonem Artura Bartelsa zamilkła, a ci co szanują serca, umiejące kochać i cześć tradycyą, z jego zgonem spotkają próżnię niemalą. Wśród szczupłych dziś zastępów owych czcicieli dawnych bogów domowych.

Szczególnie wśród Krakowa nie należy nam szukać zastępów owych czcicieli, gdyż już oddawna rzekł, a nader trafnie i słusznie, autor „Pieśni Janusza“, iż tu kamienie to ludzie, a ludzie — kamienie...

Obecnie i kamieni, któreby, jako ludzie mówić do nas mogły głosem tradycyi, z którymi i obcować i porozumieć się przyjemnie i łatwo-by było — coraz tu mniej. Znikają pamiętki szybko, bez śladu, nikt nie dba o ich ocalenie, o zachowanie od zagłady, o zabezpieczenie chociaż częściki tego, co możnaby ocalić. Każdy rok przynosi na tem polu strat mnóstwo. Nasza Hoffmanowa, gdy przed kilkudziesięciu laty zwiedzała Kraków, zapisała w swym dzienniku, iż należy zebrać napisy, jakie jeszcze przechowują mury Krakowa, a z nich się utworzy spora księga, mogąca być jedną z piękniejszych kart dziejowych.

Uwaga była słuszną. We właściwym czasie nikt tego wniosku wielkiej miłośniczki wszystkiego, co swojskie, nie podniósł, nie urzeczywistnił. Dziś już może byłoby zapóźno.

Dziś ta myśl, gdyby się urzeczywistniła, oileżby mniejszą księgę wytworzyła! Napisy się zacierają, kamienie kruszą, kamienice prastare ulegają zburzeniu, lub zupełnemu przekształceniu. Rokrocznie przynajmniej jedna z dawnych budowli, posiadająca wielowiekową przeszłość, liczne tradycje, bodaj w części, jeżeli nie zupełnie, burzy się, przekształca. Tak znikł pałac arcybiskupów gnieźnieńskich prymasów, przedziergnięty nieumiejętną dłonią na koszarę wojskowe, przyczem nie uszanowano nic z dawnej architektury... wszystko poszło na zagładę; tak przerobiono dom Bonarów; tak w roku ubiegłym zburzono odwieczną kamienicę, gdzie mieszkał św. Jacek, a więc sięgającą jeszcze XIII wieku, i przebudowano ją w stylu koszarowym, — własność to bowiem zarządu wojskowego.

Nikt się nie upomniał, nie zwrócił uwagi obecnych panów kamienicy na należyte, chociaż w części, poszanowanie niektórych zabytków, jakie tam były z epoki późniejszej; nikt się nie upomniał: wszystko poszło na marne... Zresztą tak — eśmy się znać przyzwyczaili do ciągłego obrazu rozpraszania naszej własności i zabytków, że jak z jednej strony nikt się nie kępuje z zabieraniem tego, co jeszcze jest do zabrania, tak znowu my obojętnością niejako zachęcamy do tego, — nas to i już nie razi... I tu nikt w niczem się nie wiąże: bierze, gdy jest co jeszcze do wzięcia. Podobnie, jak za

gospodarowania u nas Gustawa Adolfa, nie pogardzano nawet nagrobkami, zabierając płyty kamienne za morze, gdzie obecnie są one ozdobą kominków w starych szwedzkich zamczyskach (widywałem tam Niemcewicz), tak i tu tejsi obecni władcy Wawelu nie zaniedbują nawet starego żelazta zabrać do siebie, nad modry Dunaj, gdy ono leży tu bez właściciela... ot tak sobie, jako własność niczyja, własność Boża... Mieliliśmy tu tego świeżo przykład nader charakterystyczny. Nikt nań nie zwrócił uwagi, a kto wie, czy nie uchylano jeszcze kapelusza w podzięce... Rzec się tak miała. Latem, roku, który nas obecnie opuścił, nurek szukający czegoś na dnie Wisły wynalazł w nurkach rzeki, u podnóża Wawelu, działo, strącone zapewne przed wiekami z wałów zamku. Skoro wieść o tem doszła do Wiednia, a ktoś tu głos podniósł, by ten stary zabytek umieścić w tutejszem Muzeum Narodowym, nadszedł rozkaz z Wiednia zabraniającej tej nieszczęsnej śmigownicy do stolicy nadunajskiej. Autonomiczny zarząd miejski miał pono zamiar protestować, co zapewne nie pozostałoby bez skutku, ale, zanim usta otworzono, śmigownica odjechała do Niemców... bo i dla czegoż nie mają brać, kiedy znikąd obrony?

Kiedy w sferach działalności męskiej uderza nader często brak zaradności, tembardziej uwydatniają się w oczach naszych przykłady niewieściej samopomocy. Jeden z takich przykładów zaradności i energii niewiast niedawno tu się urzeczywistnił. Oto siedm panien, które skończyły kursa szkoły robót, założyły sklep wyprzedazy robót ręcznych. Małe akcye, po sto reńskich każda, w ilości siedmiu, wytworzyły zakładowy kapitał. Z tak małemi środkami stanęły odważne pracownice do boju z konkurencyą i mnóstwem trudności, jakie na swej drodze spotkają. Są to dopiero początki, ale nie wątpimy, że z czasem można będzie pokonać trudności i wejść na szeroki gościniec pomyślnego rozwoju. Staranne wykonanie przedmiotów z zakresu strojów kobiecych, gdzie wszystko jest dziełem ręcznej pracy, stanowi główną zaletę tego sklepu, opartego na zasadach samopomocy. Sądzymy, że pracowite i zapobiegliwe inicjatorce godnego uznania przedsięwzięcia i nadal opierać się zechcą jedynie na własnych siłach, czyniąc swój młodziutki zakład coraz bardziej dostępnym dla szerokiej kół publiczności, co urzeczywistnić się może, jeżeli ceny staną się przystępniejszymi, a tego obecnie jeszcze nie widzimy.

Pierwsze tygodnie rozpoczynającego się roku, który, jak w poprzedniej korespondencyi wspominałem, pod dość smutnymi zapowiedziami, zaznaczyły się, szczególnie w pamięci biedaków, nader bolesnymi wrażeniami: zima sroży się z nieznaną tu już oddawna mocą. Śniegi zaległy nasze miasto i okolice, a mrozy dość wytrwale nas nawiedzają. Bieda mnoży się, wzrasta, tembardziej, że ciężkie przesilenia ekonomiczne nie pozwalają na hojniejsze dary, by ją zażegnać, zresztą zaś długie z Niemcami obcowanie wyziębilo uczucia braterskiej miłości. Miłosierdzie, nader szeroko rozwinięte, współuczucie dla bied ludzkich, z czego słynie Warszawa, u nas tu są nieznanne. Jeszcześmy nie dorosli do wysokości serca Warszawy. Czyni się jednak coś i na tem polu, acz bardzo niedostatecznie. Jednym ze środków, które powołane są do tego, by zażegnać różne biedy, tu, jak wszędzie, bardziej zimą srożące się, jest tak zwana „loterya gospodarcza.“ Fanty, z darów dobrowolnych złożone, a należące do artykułów spożywczych, są przedmiotem loteryi. Rokrocznie odbywa się ona około świąt Bożego Narodzenia, otaczana jest nawet uznaniem publiczności, lecz wcale nie przynosi większych sum. Może dawniej, kiedy ludność mniejszą była, nędza zaś mniej się rozpościerała po suterrenach i poddaszach miasta, i ta skromna kwota nie pozwalała biedzie rozpanoszać się; obecnie to, co się zbiera, zbyt jest niewystarczającym... Zresztą do bied dawnych a miejscowych przybywają nowe. Od końca ubiegłego lata ciągną do nas tłumy dotkniętych pruskiemi edyktami banicyjnemi, i chociaż Kraków nie mógł być dla nich stałą przystanią, a odegrać musiał tylko rolę chwilowego etapu, nie-

mniej jednak potrzebował niemało grosza, by im przyjść doraźną pomocą, znaleźć dla nich na prowincyi pracę i zasilić niejednego na dalszą wędrówkę. Słuszność rzec każe, iż z obowiązku tego wywiązano się tu zaszczytnie; obudziła się nawet ofiarność, do której się jeszcze u nas, w tej dzielnicy przynajmniej, dostatecznie nie nałamano. znalazł się grosz w tym biednym, i o biedzie swej wciąż mówiącym kraju, znalazła się praca wśród wielkiej ciżby miejscowych potrzebujących takowej... Słowem: z zadania chlubnie się ludzie tutejsi wywiązali i wywiązują, bo nie zamknięta jeszcze księga niedoli. Dłoń Opatrzności pisze ją wciąż na dalszych kartach, pisze wciąż dalej i dalej...

Lzy, jęk rozpacz, zwątpienie zupełne, ukazujące się nader często w szeregach dotkniętych niedolą, lub tych, co doniosłość jej i następstwa rozumieją, nie zdołają skutecznie zażegnać owych wielkich burz, które obecnie zawisły nad naszymi głowami, ani też wytworzyć bodaj najmniejszej otuchy, iż chmury, które dokoła horyzont zasnuły, rozejść się mogą. Otucha ta jednak istnieje w naszej wytrwałej pracy nad podniesieniem poziomu moralnego i materialnego dobrobytu społeczeństwa; otuchą, ba i niemałą, mogą natchnąć nas pocieszające obrazy, jak się po wielkich niedolach, a wielu wiekach dźwiga lud szlązki, jak sam, maluczkimi środkami pomaga sobie, pracowicie odgrzebuje się z nicości, w którą go losy ongi, za piastowskiej jeszcze doby, stracili... Kilka, ze sześć tylko godzin koleją oddziela nas tu od Księstwa Cieszyńskiego, w którym owo dźwiganie się naocznie zobaczyć możemy i przekonać się, co wytrwała praca, co znój długi nie znający wypoczynku, a celów swych świadomy, zdziałać może.

Gdzie jest Księstwo Cieszyńskie i czym jest Księstwo Cieszyńskie, mówić tym razem i w tem miejscu nie będę, przypuszczając — i słusznie, zapewne, że czytelnikom *Bluszcza* wiadomo to bez wątpienia... Wicie o niezliczonej ilości Badów, Kurortów, możecie wskazać dokładną marszrutę do różnych stacyi leczniczych, gdzie ginie dużo polskiego grosza, a niewiele, lub wcale się zdrowia nie zdobywa; czyżbyście nie wiedzieli o Cieszyńskim, co tak wiele może nam dać zdrowia moralnego, co tak pokrzepić naszą myśl zdolne, jeżeli tylko potrafimy umiejętnie patrzeć i wyciągnąć dla siebie z tego, co zobaczymy naukę i otuchę... W innej chwili, może w szpaltach tegoż *Bluszcza* zarysuję owego dźwigania się Szlązka Austriackiego szerszy obraz; dziś wspominać o nim dorywcz.

Przed czterema dziesiątkami lat Cieszyńskie (które jest wschodnią częścią Szlązka Austriackiego), spało snem twardem, snem bez przyszłości. Stał wówczas wśród cieszyńskiego ludu młodzian pełen zapału do pracy, kość z kości, a krew z krwi ludu tego, jał się ochotnie lemieszka pracy; i dziś na niwach szlązkich zieleń się ruń obfita, budząca nadzieję, że te wieśniacze gromady zdołają język i obyczaj swój zachować, a nawet podścielisko lepszej przyszłości dla młodszych zgotować pokoleń. Takien podścieliskiem jest pewna samowiedza, do której lud ten doszedł, dzięki mrówczej zapobiegliwości swego przodownika na polu ocelenia języka i obyczaju, ongi młodzian pełnego zapału, dziś osi wiałego bojownika w ogniu doświadczeń. Przodownik ten, założyciel pism peryodycznych w Cieszyńskim, jak przed czterdziestu laty, tak i obecnie z jednaką energią jest wciąż bojownikiem pióra: to czcigodny *Fawet Stalmach*. Nie złożył on pióra do dziś; prowadzi swą dziennikarską pracę około „Gwiazdki Cieszyńskiej“, przez siebie przed trzydziestu dziewięciu laty założonej i do obecnej chwili starannie redagowanej dźwiga na własnych barkach pracę około „Towarzystwa Naukowej Pomocy dla Księstwa Cieszyńskiego“ i obecnie podnosi nowe brzemie: pracę około powstającego nowego stowarzyszenia ludu szlązkiego, która nosi nazwę „Macierzy szkolnej dla Księstwa Cieszyńskiego.“ To ostatnie zgrupowanie usiłowań wieśniaczej rzeszy ma na celu założenie gimnazjum polskiego w Cieszynie. Środki, które rozporządza „Macierz Cieszyńska“ są bardzo skromne; nie opuszcza jednak Szlązaków

nadzieja, iż wytrwałością zwalczą wszystkie przeszkody, a Bóg, który dotąd nie odwracał oblicza od ich pocziwej pracy, i nadal jej użyczy swego błogosławieństwa.

BIAŁA RÓŻA

CZEŚĆ II-ga

przez

Narcyzę Żmichowską.

(Dalszy ciąg).

— Bo jest najbliższym materiałem, który twoja wyobraźnia pochwyć i w różne kształty powyginać mogła.

— Nie zgadłaś — dlatego, bo mię kocha.

— Kocha! — powtórzyła z zapytującym wykrzyknieniem Urszula — w czymże mogłaś jego miłości dopatrzeć, Augusto? Chyba w tem, że ci nikt lepiej włóczyk i deseniów na kanwę nie dobiera?

— Bardzo przepraszam — dopatrzyłam jej w tem, że nikt Morysia obrazić, zasmucić, rozgniewać nie jest w stanie, tylko ja jedna.

— Zaszczytne pod wszelkimi względami odznaczenie!

— Śmieję się, śmieję się, Urszulko, a mnie jednak dziwnie na sercu się zrobiło, kiedy niezbyt dawno zaczęłam go prześladować Salusią: wiesz, tą córką jednego z naszych ekonomów, którą przed rokiem za pannę służącą matka dla mnie przyjęła. Istotnie, Salusia bardzo jest przystojna, a nawet wszyscy znajdujemy, że do Morysia podobna: tensam, trochę zadarty nos, tezsame, trochę okrągłe, ale czarne i figlarne oczy, prawie tezsame, i wisienkowate, ciągle rozchichotane usteczka, tylko płeć śniada, jak u cyganki, i ruchy daleko ostrzejsze, ma się rozumieć, więcej podobne ruchom swawolnego chłopaczka, niż tym ruchom igrającego kociątka, za które ja najpierwej Morysia w ramki mej wyobraźni oparłam. Żartowałam więc z niego, że on byłby powinien Salusią się urodzić, a Salusi właśnie Morysiem być wypadało, że to wrażliwsza i energiczniejsza dziewczyna, że w jego położeniu już by się dawno albo we mnie zakochała albo z nim jako z białą Salusią, ożeniła. Nie pamiętam wreszcie, co mu tam nagadałam wtedy, bo mi było przed chwilą okropnie nudno i potrzebowałam rozdrażnić kogoś lub siebie. Biedny Morys tymczasem czerwił się jak poziomka, chciał żarty żartami odbijać zrazu, lecz niezadługo ucichł, [tak] posiedział chwilkę w milczeniu i wyszedł do drugiego pokoju. Łatwo się możesz domyślić, że mi właśnie nie tego było trzeba. Owszem, jak tylko spostrzegłam, że Morys trochę się dąsa, uczułam natychmiast, że nie mogę obejść się bez niego. We dwie minuty znów byłam przy nim. Stał twarzą do okna obrócony, czoło oparł na szybie i nie usłyszał mego wejścia.

— Salusi! — zawołałam nagle, rękę na ramieniu mu opierając. Drgnął jak nerwowa kobieta, ale się nie obejrzał, i tylko jeszcze mocniej głowę do szkła przycisnął.

— A cóż tam ciekawego na pustej ulicy widzisz? — rzekłam tak schylając się obok niego, że koniecznie musiał mi się usunąć. W tem poruszeniu wzrok nasz się spotkał, a na rzesach Morysia jeszcze wisiały oskarżające jego poprzednią nieruchomość [tak] dwa brylanciki przeczyste, dwie łezki pocziwe, jakimi chyba mnie, lub tobie, Urszulko, nademną zapłakać. Czy myślisz że się zmięczyłam ich widokiem? Otóż nie. Zapewnie, im kto się więcej nudzi, tem się okrutniej szym staje. Mnie łezki rozradowały w głębi serca, lecz i tego wrażenia po sobie nie okazując odstąpiłam na pół kroku i cichym, ale surowym głosem zapytałam:

— A to co znaczy?

Morys wahał się chwilkę jeszcze, a potem jak gdyby wezbranej myśli powstrzymać już dłużej nie mógł:

— To znaczy — rzekł równie cichym, by nas nie dosłyszano, lecz gwałtownie przyspieszonym słów wylanych potokiem, to znaczy, Augusto że mi dokuczysz, że sztydzisz ze mnie; bo Dyonizy — on tylko się śmieje, on rzeczywiście żartuje, — ja mu takie już z natury dane jest usposobienie; lecz w twoim charakterze niema żartów i wesolosci ty kiedy się śmiejesz, to przez grzeczność dla towarzystwa, albo ze wzgardy dla człowieka.

— Więc się zdaje, że tobą pogardzam, Morysiu? — zagadnęłam ciągle spokojna i poważna.

— Jestem tego pewny, odpowiedział, nie bardzo jednak pokornie patrząc mi w oczy. Ja się nie a nie jego spojrzeniem z kolei wysadzić nie dałam; tylko zawsze z właściwą sędziemu godnością dalej prowadziłam moje śledztwo.

— Powiedźże mi: na jakich wnioskach opierasz te przypuszczenia?

— A właśnie na szyderstwie twojem.

— Szyderstwo już byłoby dowodem — i dowodem przezemnie złożonym, wnioski zaś muszą być z przyczyny wysnute, a przyczynę tylko w sobie znalazłbyś chyba.

— Przyczyna w nas obojgu. Augusto: tyś bogata, ja w porównaniu z tobą ubogi zupełnie; tyś córka domu, ja wychowaniec.

— Jednak dotychczas, Morysiu, nie przyszło ci to nigdy na myśl inigdy mię nie posądziłeś ani o szyderstwo, ani o wzgardę; byliśmy przecież zawsze dobrymi przyjaciółmi sobie; no, jakże czy nie byliśmy nimi, Morysiu?

Morys wziął mię za rękę, ścisnął ją mocno jak John Bull, i znów mu dodatkowe jakieś świeczki w oczach zamigotały.

— Prawda — rzekł z głębokim wzruszeniem — byłaś zawsze dla mnie dobrą, jak siostra rodzona; ale jeśli dojrzałaś, jeśli ci się zdawało przynajmniej, że dojrzałaś, w tajnikach mej duszy mniej właściwego uczucia, wtedy zaczęłaś mną pogardzać, a może tylko pogardę okazujesz, aby mię wyleczyć?

— Nie, mój drogi Morysiu, byłoby to najnie-roztropniej z mej strony użyte lekarstwo. Najpierw powiadam ci, że nie dostrzegłam i nie dostrzegam niczego; ale gdyby tak było nawet, wtedy wierz mi, nigdy prawdziwe uczucie „mniej właściwem“ mi się nie wyda — i tylko w takim razie straciłbyś mój szacunek, gdybyś sam, jak winowajca, z owem uczuciem kryć się potrzebował, gdybyś nie miał odwagi stawić go śmiało wobec świata i wyrobić mu potrzebnych do uznania przez drugich warunków.

— Oh! warunków, warunków — smutnie głowę spuściwszy powtórzył — jakichże dopełnić trzeba?

— Zdobyć sobie niezależność: to pierwszy; zdobyć sobie taką nad ludźmi przewagę, żebyś ty im raczej miał prawo obojętnością, nie oni prawo tobie podejrzeniem, cisnąć: to drugi; a potem... może będzie trzeci. I mimowolnie uśmiechnęłam się do własnej myśli mej; bo już się trzecim niezbędnym warunkiem byłoby jeszcze pozyskanie wzajemności, a coś mi błyskawicą od piersi do głowy przeleciało w tej chwili, że wzajemność da się pozyskać. — Morys stał niby odurzony; nakoniec załamał ręce, jak to zwykł czynić we wszystkich swoich dziecinnych rozpaczach, i prawdziwie z dziecinnem rozżaleniem zawołał:

— Szczęście tak byłoby łatwe! a ty mi je kazesz okupować ciężką pracą — i trudnym do uzyskania od ludzi poklaskiem. Więc ci się koniecznie zdaje, że muszę być bogatym i sławnym, żeby mieć przywilej wolnego, według natchnienia mej duszy, wyboru.

— Ulżę ci trochę zadania, mój Morysiu — rzekłam znów, ponapoleońsku ręką ramienia jego dotykając — już nie żądam, żebyś był bogatym i sławnym, lecz bądź tylko, albo sławnym, albo bogatym... reszta przydaną ci będzie.

Morys zawrócił główkę i ucałował końce palców moich.

— Masz słuszność, Augusto — rzekł z niezwykłą sobie stałością — muszę raz coś nakoniec przedsięwziąć, żeby kobieta, którą kochać będę tak, jak ty dzisiaj, nie śmiała się ze mnie.

— Cześć szlachetnym zamiarom! — rzekłam, bardzo nisko mu się kłaniając, i wróciłam do ba-

wialnego saloniku. Morys wkrótce za mną po-
ciągnął; siadł obok mnie z uroczystą, jak Wielka
Noc, miną i całą godzinę prawil mi, czem się chce
zająć, czem wśród ludzi odznaczyć, czem na mi-
łość kobiety zasłużyć. Roztrząsnęliśmy i osadzili
surowo wszystkie jego wrodzone zdolności, wszyst-
kie nabyte lub mogące się nabyć talenta, bo
trzeba ci wiedzieć, że to dość hojnie od natury
uposażona osobistość: nauki wszystkie szły mu
z nierównie większą niż Dyonizemu łatwością.
Pamięć lokalna, pojęcie szybkie, na fortepianie
biegłość do pozazdrosczenia, na skrzypcach po-
ciągnięcie smyczki zachwycające, w malarstwie
rzut pędzla bardzo śmiały i oko bardzo trafne;
tylko brak temu wszystkiemu najgruntowniej-
szej podstawy i najświetniejszej korony: brak
powołania, wokacyi ostatecznej. Właśnie też po-
owiedziałam mu nawet tego wieczora, że on podob-
ny zupełnie do sklepu Naakego na Krakowskim-
Przedmieściu: czego kto chce, tego w nim do-
stanie, a jak się cały handel nazywa, ani rusz
popolsku oznaczyć: koniecznie trzeba francuz-
kiego „bric à-brac“ pożyczyc. Moje „bric-à-brac“
okropnie w niesmak poszło Morysiowi: chciał
mi dowodzić, że gdyby we Włoszech mógł się
kształcić, to byłby został znakomitym muzykiem.
Co do mnie, pewną jestem, że gdyby pojechał
kształcić się na muzyka, wróciłby nam może niez-
łym malarzem, a gdyby na malarza, to kto wie,
czy nie archeologiem: zawsze toby go nęciło ku
sobie, coby nie stało mu na oczach jako obowiąz-
kowe zatrudnienie: mała słabostka, w zwyczaj-
nem życiu bardzo szkodliwa, lecz w nadzwyczaj-
nem są przeciw niej skuteczne lekarstwa. Mory-
siowi jego miłość będzie lekarstwem, a mój roz-
kaz powołaniem; dotychczas uradziliśmy tylko
wspólnie, że trzeba zagranicę pojechać i z zagra-
nicy przysłać nam taki obraz, o którymby cała
Europa przynajmniej ze trzy dni ciągle gadała.
Jak widzisz, Morys niezbyt długo się przy swo-
jej muzyce upierał; przedstawiłam mu tylko, że
muzyka jest już zużytym i nadużytym środkiem
rozgłoszenia swego nazwiska, że współubiegają-
cych się tłumy, a dobór towarzystwa nie najwy-
kwintniejszy. Wszystko to odrazu trafiło do jego
przekonania, i wnet poczuł w sobie, iż malarstwo
trochę nawet więcej od muzyki lubi. Domyślasz
się. Urszulko, jak pod moją spokojną maską
wszystkie nerwy mi się śmiały na takie studen-
cie przeskok; ale nie dałam tego poznać po so-
bie: i owszem, w pełni dobrej wiary łączyłam
się z temi igraszkami młodocianej wyobraźni
płynęłam z tą kapryśną łódką po wszystkich wi-
rach i kaskadach najdziwaczniejszej jakiej rze-
czulki. Nie była mi przykrą ta podróż; czułam
w każdej chwili, że przy rudlu stoję i kiedy ze-
chcę, gdzie zechcę, zatrzymam. Jutro, na pierw-
sze moje słowo, Morys do Rzymu się wybierze,
lecz ja także nie bardzo się śpieszę.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, w Styczniu 1886 r.

Zima i jej trzykrotny powrót. — Tutejsze sposoby ogrzewania
mieszkań. — Wybory do Izby i wybór Prezydenta. — „Politica.“
Rozprzężenie umysłowe. — Wzrost przestępstw. — Zabójstwo
Prefekta Barréme'a. — Bilans morderstwa. — Prawdziwa zaraza
moralna. — Jej szerzenie się w literaturze i sztuce. — „Safa-
i „Georgette“ — „Morze“, p. Richepin'a. — Autorowie i publicz-
ność. — Pornografia i jej powodzenie. — „Paryżanin“ Gondineta
Daudet'a „Tartarin na Alpach“ — „Sokrates i jego żona“, p.
Banville'a. — Śmierć p. de Falloux i Baudry'ego.

(Dokończenie).

Czyja w tem wina? pyta się krytyk, poważny
i uczciwy. Czyż rzeczywiście Francya zesza-
ła do takiego stopnia poniżenia, iż niema już innej
literatury dla niej nad te bezedne piśmidła? czy
może, dała się ona pochwyć chwilowo temu
kuglarstwu literackiej cyganeryi, która za po-
mocą niesłychanego zuchwalstwa narzuciła się

jej poprostu, i zmusiła ją do nurzania się w tem
brudactwie?

Dzięki tedy pewnemu rodzajowi cygańskiego
wolno-mularstwa, którego pierwszym dogmatem
jest wzajemne uwielbianie siebie samych tylko.
ta plejada pisarzy stworzyła sobie pewną klien-
tellę pomiędzy czcicielami piotunkówki, szlifi-
brukami najniższej warstwy, Aspazyami niższego
stopnia, z którymi żyją i obcuja jedynie. A te
dziś, szlifbruki i Aspazy trzymają tu górę.
Tłum ów próżniaczy, który bieży, gdzie tylko
zasłyszysz uderzenie w kotły, otoczył tę bandę
wokoło i z oklaskami wesela wprowadził ich do
kapitolu.

P. Richepin jest poetą tej szkoły; kiedy inni
poprzestają na skromnej prozie, dla wyrażenia
nieprzyzwoitości i brudalstwa, któremi odznacza-
ją się ich dzieła, p. Richepin, nastraja swój
wieszcz bardon i śpiewa językiem bogów, a cała
ta pornograficzna banda omdlewa z zachwyce-
nia i radości.

Pierwszem dziełem tego poety, było „Piosenka
włóczęgów“ (*La chanson des Gueux*), za którą po-
ciągnięty został do prokuratoryi, co w tej epoce
chorobliwego ogłupienia mas jest dostatecznem,
aby z człeka nieznanego wczoraj uczynić znako-
mitemo dzisiaj. W ślad zatem wydał on dwie
czy trzy bardzo mierne powieści, dziś zapomnia-
ne zupełnie, napisał dwie sztuki dramatyczne,
które się utrzymały na scenie czas jakiś, (dzięki
talentowi aktorek, dla których je napisał autor),
i nakoniec rzucił on wśród tłumu tę książkę,
o której wspominałem wam roku zeszłego, pod
tytułem: *Les blasphèmes*, bo popolsku, nie możemy
nawet na to, dzięki Bogu, właściwego wyrazu.
Jak wam mówiłem wówczas, ta książka zdradza-
ła w autorze pewien stan erotycznego obłąkania
i buntu przeciw społeczeństwu, w którym pisa-
rzowi było za ciasno — dzieło chorobliwe, wstre-
ne, w którym obryzgał poeta swą pianą bez-
silnej wściekliwości i najpodlejszemi słowy naj-
wyższe i najświętsze uczucia. Dziś mamy *Morze*.
Ażeby pojąć czem jest ta nowa, chwalona, reko-
mendowana książka, potrzeba przetłumaczyć z niej
pewne ustępy; tej zaś nieprzyzwoitości, nie śmiem
się dopuścić. Mówię tu o tem dziele, bo to jest
znak czasu i daje mi sposobność, pod tą jedną
rubryką wyrazić całą myśl moją, o tej szkole
i o jej pisarzach. Dziś p. Richepin zowie się
poetą! Na szczęście, że po tem „dziś“ nastąpi ju-
tro — i że potomność, mniej pobłażająca, niżeli się
zdaje, co do przyznawania chwały, za lat kilka, nie
będzie przywiązywała wyższej wartości do tych
wszystkich produkcji rozpasanej żądz.

Tymczasem tak przepieprzono i przesolono li-
terackie dania, tak wyparżono biesiadnikom gę-
by, że dziś, zanim przyjdzie reformator jakiś
i stworzy coś nowego, niema nad dwie ostatecz-
ności: pornografia, albo niewinne wesołe igraszk-
ki dowcipu, — albo *Sapho*, *Georgette*, *Spowiedź* i t. p.,
albo *Paryżanin*, komedia Gondineta, przedsta-
wiona kilka dni temu, po raz pierwszy w Tea-
trze Francuzkim, wesoła — dowcipna komedyjka,
jak za starych czasów, pełna fajerweków paryz-
kiego prawdziwie dowcipu, ale też niemająca in-
nej, lepszej i głębszej wartości, lub też Daudet'a
pt. *Tartarin z Terraskonu na Alpach* — wierutne
błażeństwo i mistyfikacja czytelników. Mielśmy
już tego Tartarina z Taraskonu N.I, ten był dosyć
zabawny, dając nam dowcipnie schwycony szkic
tej fakundy i tej blagi gaskońskiej, która, rzecz
dziwna, w pewnym względzie przypomina nasze
szlacheckie pogadanki. Tamto było dobrze uję-
te, dobrze zrozumiane i wykończone z wielką
werwą i artyzmem. Ale tu przeniesienie na Alpy
takiego człowieka, jak Tartarin, z komicznem
powtórzeniem tychsamych prawie scen, co w pierw-
szym szkicu, dając mu za zadanie, aby pokazał
czytelnikom podróż po Szwajcaryi, z komicznej
strony. To się niepowiodło wcale. Jest to błahe,
blade — widocznie dziecko, co przyszło przed cza-
sem i w którym niema ani śladu podobieństwa
ze swoim rodzicem. Figaro, który znowu musi
tu trzymać najdziurawsze patelnie, podjął się
usmażyć tę prowencką jajecznicę, i tak się tego
uwinął, że w końcu ją przypalił, przydymił i że
psy ją zjadły.

O takiej zaś sztuce, jak *Sokrates i jego żona*,

p. Teodora de Banville'a, niema już co i mówić;
to nie wchodzi w rachunek tych dwóch ostate-
czności, o których była mowa, bo jest to tylko
czysta rozrywka starego poety. Sztuka w je-
dnym akcie, wierszem napisana, od 1873 r. le-
żała w szufladzie Teatru Francuzkiego, zkąd ją
wyciągnęło dopiero dzisiaj przyjscie do władzy
nowego dyrektora, albo jak oni to nazywają ad-
ministradora, p. Clarétie, przyjaciela poety.

Ta komedyjka nie ma żadnej pretensyi do re-
staurowania starożytnych podań greckich: jest
to, jak mówiłem, poetyczna rozrywka, łatwym
i gładkim napisana wierszem. Poeta, wskazując
rok 429 przed N. Ch., jako epokę, w której się
odbywa, pokazuje nam Sokratesa w czterdzie-
stym roku życia, a ztąd przypuszcza, że Xan-
typpa była jeszcze młodą, co nie przeszkadza
wcale, aby nie miała tych wad i przywar, jakie
do jej imienia i osoby, przywiązuje tradycya
i historia. Wszak są na świecie, powiadają lu-
dzie, nawet i młode sekutnice!

P. de Banville zostawił jej ten przymiot sta-
rożytnej jędzy, nie kuszając się wcale o inne ar-
cheologiczne dokładności. Jego Sokrates nie
jest to ów filozof pijący truciznę i umierający
za prawdę. Jest to, poprostu, mieszczanin pa-
ryzki, z ulicy Ś-go Dyonizego, a jego zajścia
z Xantypą, to są domowe swary tego episiera,
z zazdrosną żoneczką. Złapany na uczynku, że
gdzieś tam w kącie, przydybawszy pannę Myr-
rhynę, młodą i ładną dziewczynę, od modniarki,
lub szwaczki, całować się ją odważył, ma się
zypszna, i po żwawej rozprawie, dochodzi do te-
go, że dostaje w twarz od Xantypy. Ale wszyst-
ko to się wyjaśnia, małżonkowie się godzą, bo
Sokrates, ściskając Myrrhynę, chciał jedynie po-
godzić ją z kochankiem, a uczniem biednego fi-
lozofa.

Niema więc w tej komedii nic, coby się ty-
czyło, dzisiejszych dążeń literackich. Jest to
prawie anachronizm sceniczny, a gdyby nie talent
Coquelin'a i spryt panny Samary, możeby nawet
nie gadano o tem; bo jeśli krytyka potwier-
dziła, głową i piórem, że to śliczny obrazek, to
jedynie dla tego, że to nikomu nie włązi w dro-
gę i że de Banville ma wielu przyjaciół.

Teraz, nie opuszczając zupełnie pola literac-
kiego i artystycznego, niech mi wolno będzie
zwrócić się do poważniejszej i czystszej strony
tego pola, z którego tylko co odeszli, dzielni, i
nie pracą, ale życiem zużeni pracownicy.

Pierwszy z nich, Fryderyk Alfred Piotr hr.
de Falloux, du Coudray, zmarły w Angers dnia
6 Stycznia r. b., był to umysł wyższy, chara-
kter czysty, inteligencya jasna, dusza wierząca
i prawa, nieprzyćmiona żadną małostką. Współ-
uczeń i przyjaciel takich ludzi, jak ks. de La-
mennais, Genoud, Lacordaire, Montalambert, Ber-
ryer, p. de Falloux nie zeszedł nigdy z tej drogi,
jaką poszli ci apostołowie liberalizmu w koście-
le katolickim. Pierwszem jego wystąpieniem na
świat były: *Historja Ludwika XVI i Historja
Papieża świętego Piusa V.*

Powiadają, że Falloux zostawił kilka tomów
pamiętników. Będą to ciekawe i ważne wspom-
nienia męża, który brał udział w ważnych spra-
wach ojczyzny i z tylu ludźmi ważnymi miał
styczność. Niezłomnego charakteru i zasad, ni-
gdy on nie tracił z oczu, ani własnej godności,
ani godności zasad, których był obrońcą.

„Zniewaga, panie, ulega prawom ciał fizycz-
nych, i ważność jej jest w stosunku prostym do
wysokości, z jakiej spada.“ Słowa te były zwró-
cone w Izbie Deputowanych, a raczej w izbie zgro-
madzenia narodowego w 1850 r., do Juliusza
Favre'a, na posiedzeniu, na którym toczyły się
dyskussye nad wyprawą do Rzymu, kiedy Juliusz
Favre ostrą przymówką dotknął osobiście hra-
biego de Falloux, naówczas ministra oświecenia,
pod prezydencyą Ludwika Napoleona. Falloux,
postawiony przez swe urodzenie i wychowanie
na stanowisku przeznaczonem do żywej i nie-
ustającej walki za sprawę zasad liberalnych,
nie uronił nigdy osobistej, wielkiej godności,
i nigdy też, jakkolwiekby gorącą była wal-
ka, nie przekroczył w mowie, ścisłej granicy po-
prawnej przyzwoitości.

Rodzina de Falloux pochodzi z Angers. Ród

to stary kupiecki, nobilitowany dopiero za Ludwika XV i używający w rodzinnym swem mieście wielkiej reputacji zamożności i nieposzlakowanej prawości. W tych czasach zacieklej walki o byt, czystość i piękność charakterów staje się codziennie rzadszą, jest to obowiązkiem każdego poczciwego człowieka nie pomijać słowem tych, którzy dają przykład sumiennego dochowania tych zasad. Nasi przyjaciele nie są dziś liczni na świecie. We Francji mniej ich coraz niż dawniej. Nie zapominajmy więc o tych, którzy nam dochowali wiernie tej przyjaźni, wbrew i naprzekór wszystkiemu. Z tej właśnie liczby był zmarły hr. de Falloux. W roku 1831, młody jeszcze wchodząc w życie, poznał on wielu z polskich przybyszów do Francji, przystał duszą i sercem do tych biednych pielgrzymów i, jak mówiłem, pozostał wiernym do śmierci, tym przekonaniom i tym uczuciom. Przed rokiem jeszcze miałem szczęście słyszeć z ust jego pochwałę nieśczęścia, ztąd też szacunek dla tego starca, mam i mieć będą nazawsze.

Drugi, którego strata wywołała ogólne i powszechne współczucie, był to Paweł Baudry, malarz wysoko ceniony tutaj, i twórca dzieł zdobiących wnętrza sali Wielkiej Opery Paryskiej. Syn ubożego wyrabiacza drewnianych kaloszy (sabots), z miasteczka Roche-sur-Yon, w Wandei, wielką zdolnością i większą jeszcze pracą, doszedł do takiej wziętości tutaj, iż mu przysznano prawie pierwsze miejsce w malarstwie francuzkiej nowożytnej szkoły. Był to rzeczywiście artysta wielkiego talentu, ale pochwały współrodaków, zanadto może wielkie, przysądziły mu pierwsze miejsce w sztuce; byli i są tu artyści, którzy ustępują mu wcale w żadnym względzie sztuki; lecz Baudry miał szczęście do ludzi—a to, wiemy wszyscy, jak wielką odegrywa rolę w zawodzie artysty. Przyjaźń serdeczna i ścisła z Karolem Garnier, architektem gmachu Wielkiej Opery w Paryżu, otworzyła mu drogę do otrzymania obstalunku malowania wnętrza tej sali. Było to przedsięwzięcie kolosalne, nad siły tego artysty, który wcale nie był przygotowany do takiego dzieła. Baudry, wdzięczny bardzo malarz rodzajowych obrazów, biegły malarz portretów, nie miał w swoim temperamentem artystycznym tego porywu i tej śmiałości rysunku i pędzla, jakich wymaga malarstwo ściennie, i to w gmachu takich rozmiarów, jak sala wielkiej opery. Z pewnym przetrachem więc i ustępując naleganiom przyjaciela Garniera, przyjął ten ciężki obowiązek i upadł pod jego ciężarem, pomimo bowiem nowej podróży podjętej umyślnie do Włoch, pomimo nowych studyów i ogromnej pracy, malowidła, któremi ozdobił operę, nie mają wiele tej wartości, jakich się ma prawo wymagać dla takiego gmachu.

Jak mówiłem, obsypano go pochwałami, podniesiono pod obłoki, ale to nie zmienia wcale rzeczywistej wartości dzieła. Są to pochwały przyjaciół, jest to głos kamaraderyi: potomność będzie surowszą. Baudry zostanie jednym z zdolnych i pełnych talentu malarzy francuzkich, jednak nie jako twórca dekoracji opery, lecz jako malarz Szarlotty Corday, portretu Guizota itd.

Liczne grono przyjaciół i artystów towarzyszyło do grobu za wcześnie, niestety, zmarłemu artyście, miał bowiem 57 lat, i mógł jeszcze wiele zrobić dla sztuki. Karol Garnier piękną i pełną serdecznego uczucia mową pożegnał przyjaciela i wycisnął z żalu i szczerego żalu z oczu wszystkich przytomnych.

7

RUCH MUZYCZNY.

Zapowiedziane od dość dawna przybycie towarzystwa francuzkich śpiewaków i aktorów, wśród których figurowało głośnie nazwisko Lassalle'a, powszechne obudziło zaciekawienie, to też pomimo potrójnych cen miejsc sala Teatru Wielkiego w d. 13 Stycznia świetnie się zapełniła. Po pod-

niesieniu kurtyny dowiedzieliśmy się, że porządek widowiska będzie zmienionym; na szczęście, odnosiło się to do części dramatycznej, zostającej pod przewodnictwem pana Dieudonné, a która nietylko nas obchodziła. Widowisko rozpoczęło się komedią jednoaktową „Les espérances”, koncert zaś, występem pana Viola, tenora, który głosem słabym, bez wyrazu i temperamentu, wymęczył arya z opery „Luisa Miller” Verdi'ego. Ten niefortunny początek zaniepokoił nas trochę, tembardziej, że zaraz następny numer programmatu, wykonany przez pannę Duvivier, bardzo mierną śpiewaczkę, również nie odznaczał się żadną wartością, a gdy wreszcie po monologu pana Petit-Mangin usłyszeliśmy pannę Delmont, artystkę bez głosu i bez szkoły, wtedy byliśmy już blizcy rozpaczy! Tyle zachodu dla dostania biletów, tyle poniesionych kosztów, miałooby tak mało się wynagrodzić, przynosząc zawód, w miejsce tak słuszenie oczekiwanej przyjemności! A czyż można było się spodziewać, że w tem otoczeniu, odnajdziemy Lassalle'a, jakim go zagraniczne pisma nam zapowiedziały? Sądziłyśmy, że i tu również czeka nas rozczarowanie; stało się jednak inaczej. Lassalle sam jeden najzupełniej wystarcza, aby przedstawienie uczynić zajmującym. Jest to głos niepospolity, prawdziwy baryton, o brzmieniu równym, metalicznym, silnym, o skali bardzo obszernej, dający się nagiąć do rozmaitych odcieni uczucia, naprzemian to tkliwy, smutny, ła godny, to znowu piorunującym, dramatycznym, niemal groźnym.

Taki materiał głosu sam przez się jest już rzadkością, a cóż dopiero gdy włada nim umiejętnie artysta wykształcony. To też efekta otrzymywane przez Lassalle'a są potężne w całym tego słowa znaczeniu. Po wykonaniu arii z opery „Herodyada” Massenet'a, gdy słuchacze zachwyceni raz po raz przywoływali artystę, tenże, chcąc podziękować im, zaśpiewał nad programmat śliczną pieśń Moniuszki „Kozak” z tłumaczonym tekstem francuzkim, lecz tak się przejął myślą autora, tak dobrze odczuł typowy charakter tej pieśni, że zapomniało się o obcym brzmieniu wyrazów. Romans Rubinstein'a również wywarł silne wrażenie na słuchaczach. Kulminacyjnym jednak punktem występu Lassalle'a były dwie sceny z opery „Rigoletto”. Tu okazał się on nietylko śpiewakiem, lecz i aktorem doskonałym. Akcja jego mogła nas początkowo zadziwić, gdyż przywykliśmy do konwencyonalizmu na scenie; Fraucuzi jednak, którzy realizm we wszelkiej sztuce tak daleko posunęli, inaczej również muszą interpretować i swe kreacje sceniczne: są one brane z natury, do złudzenia prawdziwe, nam zaś wydają się szarżowanymi i trochę nieestetycznymi. Ogólne wrażenie śpiewu Lassalle'a długo pozostanie nam w pamięci, zniżając przez porównanie siłę wrażeń otrzymywanych z innych popisów. Słyszeliśmy, że podobno w miesiącu Marcu, powracając z Petersburga, Lassalle zamierza wystąpić kilkakrotnie na naszej scenie, lecz już bez swego niefortunnego otoczenia, z miejscowymi tylko siłami artystycznymi naszej opery.

Uzupełniając szczegóły tego występu francuzkich artystów, wypada nam podać, że oprócz uczestniczenia w scenach z „Rigoletta”, panna Dalmont wykonała arya z „Wesela Żanety”, Masségo i „Bolero” Delibes'a, a panna Duvivier arya z „Herodyady” Massenet'a i serenadę Holmes'a.

W Towarzystwie Muzycznym w końcu Stycznia przyjmowała udział w koncercie panna Wiera Timanoff, nadworna pianistka dworu Sasko-Wejmarskiego, oraz panna Szlezygerówna. Pannę Timanoff słyszeliśmy kilka lat temu, i ze smutkiem musimy wyznać, że gra jej nie a nie nie postąpiła, a bodaj czy nawet się nie cofnęła. Przedewszystkiem zauważyliśmy pewne znużenie, ociężałość w grze, czego dawniej nie było, następnie brak siły i dostatecznej techniki, co nie dopuszcza stopniowania odcieni i zupełnego panowania nad instrumentem; ztąd pochodzi, że gra panny Timanoff, nie zaciekawia, nie porywa słuchacza, lecz nuży. Sonata Scarlatti'ego, Marsz wojenny Schubert'a, Rapsodya Liszta: oto dzieła, które okazały się nieodpowiedniami dla kon-

certantki; najlepiej zaś były wykonanemi: Capricce „Saint-Saëns'a z „Alcesty” Glück'a, „Temat i waryacja” Schubert'a. i „Na skrzydłach pieśni” Mendelssohn'a.

Panna Szlerygierówna, jak to już mieliśmy sposobność wyrazić, jest inteligentną śpiewaczką, prawdziwie zamiłowaną w sztuce i rozumiejącą jej znaczenie; to też śmiało czerpie swój repertoar ze skarbów klasyycznej muzyki, czując się na siłach podołać trudnemu zadaniu. Szczególniej upodobała sobie styl dzieł mozartowskich i z prawdziwym je poszanowaniem i wdziękiem interpretuje. „Recitativo” i Aryę z opery „Flet zaczarowany” wykonała niezmiernie poprawnie, a jeżeliby było co do nadmienia, to to tylko, że akompaniator nie starał się zrozumieć intencji śpiewaczki i autora. Następnie wykonała dwie piosenki: jedną pani Leokadyi Myszyńskiej, drugą zaś Michała Hertza, „Gołąbki.” W tymże koncercie Towarzystwa ukazała się pierwszy raz, po niewiele próbach odbytych, orkiestra amatorska i została przyjętą przez publiczność z entuzjazmem. Rzeczywiście, doznaliśmy wielkiej przyjemności, widząc spełniający się fakt tak dawno oczekiwany, by niezależnie od teatralnej orkiestry posiadać w naszym mieście drugą, któraby nie była skrepowana, tak przedstawieniami teatralnymi, jak i wolą dyrekcyi. Początek jest już zrobionym, a, jak na początek, to nawet wcale dobrze; teraz tylko potrzeba wytrwania i jeszcze raz wytrwania!

Pan Alfred Grünfeld, tak ceniony u nas pianista, wystąpił dwukrotnie w Salach Redutowych; lecz czy-to z winy karnawału czyli też z braku dostatecznego powiadomienia publiczności o terminie koncertów, dość, że wystąpił przed pustymi krzesłami; szczęście, że zawsze pogodny umysł tego sympatycznego artysty nie zraża się tak łatwo, a zatem nie przeszkodziło mu to grać cudownie. Dziwny to, zaiste, człowiek, w którym jakby istniała dwoistość natury i poglądów w sztuce. Z Beethoven'em, Schuman'em i t. p.: wnika w tajne głębie myśli poważnej i rozumie ją i zdawałoby się, że tylko ten rodzaj muzyki studjuje i ceni; gdy wkrótce następuje nagły zwrot o całe niebo daleki, do walca Straussa i drobnostek muzyki tegoczesnej salonowej; a jednak słucha się tego z przyjemnością, z zajęciem, tak pod jego palcami stają się te błahostki wdzięcznymi. Czyż to nie czarodziejstwo prawdziwe? Pan Grünfeld jeszcze posiada jedną charakterystykę godną zaznaczenia, mianowicie: że pracuje dla sztuki, że ją kocha i coraz więcej stara się odgadnąć, a co zatem idzie, uszlachetnia się. Za pierwszym jego pobytem u nas, mogliśmy śmiało wygłosić zdanie, że gra jego jest piękna, lecz brak jej powagi i głębi, że jego repertoar to większej części błyskotki; obecnie musimy nasze zdanie zmienić: widzimy dwoistość, lecz nie płytkość, dziwi nas cierpliwość w studyowaniu muzyki lekkiej, jedynie z tego względu, że cenimy w Grünfeldzie potęgę artystyczną i zdolność dojścia do wyższych celów.

Na zakończenie podzielimy się dobrą wiadomością z naszymi czytelnikami. Professorowie konserwatorium warszawskiego, panowie Różycki i Rutkowski opracowali zbiór ćwiczeń fortepianowych, jako podręcznik dla uczących się, i praca ta, zatwierdzona przez zarząd konserwatorium, wkrótce wyjdzie z druku. Znane nazwiska autorów dają rękojmię, że będzie to dzieło pożyteczne i wyczerpujące w swem założeniu.

Juliusz Stattler.

Kronika działalności kobiecej.

— Wystawa inwentarza, odbywająca się przez ciąg lat kilku na Polach Ujazdowskich, będzie mieć miejsce i w roku bieżącym. Otwarta w dniu 13 Czerwca, trwać będzie do dnia 20 Czerwca, to jest dni ośm; obok wystawy koni, owiec i bydła

rogatego obejmie, jak zwykle, dwa działy przeważnie kobiecego gospodarstwa: wystawę trzody chlewnej i drobiu. W dziale trzody chlewnej przyjmowane będą: knury, maciory, prosięta i tuczniaki; dział ten posiadać będzie trzy medale srebrne, trzy brązowe, oraz trzy nagrody po rs. 50. Dział drobiu dopuszcza wystawę wszelkiego domowego ptactwa i mieć będzie jeden medal srebrny, dwa brązowe, cztery nagrody po rs. 50. Oprócz tego w zakresie każdego konkursu udzielane będą listy pochwalne. Ustanowiono także trzy złote medale za najlepsze grupy okazów jednego przeznaczenia lub kierunku, wystawione przez jednego wystawcę: jeden w dziale bydła rogatego, jeden w dziale owiec, jeden w dziale świń. W dziale świń grupa ubiegająca się o medal złoty obejmować powinna: jednego knura, dwie maciory, sześć prosiąt. Oprócz wystawy żywego inwentarza wystawa mieć będzie: konkurs wzorowych gospodarstw rolnych, konkurs kucia koni, oraz konkurs w zakresie gospodarstwa kobiecego: nabiłowy. Okazy urodzone za granicą przyjmowane będą, ale poza konkursem.

Wystawa ta będzie już ostatnią. Bliższe szczegóły podamy wkrótce.

— W N 11 *Kaliszanina* odzywa się głos kobiety, wzywający do zakładania *Kółek oszczędności*. Kobieta, jako stojąca na czele gospodarstwa domowego może uczynić wiele w kierunku oszczędności przez zmienioną skalę życia rodziny, przez dbałość gospodarczą i zmniejszony wskutek tego budżet wydatków domowych. Poczciwa ta odezwa do mieszkanki Kalisza, skreślona poważnie i rozumnie, podpisana jest: „Zofia.“

— Zmarła w Warszawie ś. p. Anna Karolina z Szubertow Zanelli zapisała rs. 1,400 Warszawskiemu Towarzystwu Dobroczynności na powiększenie funduszów wydziału sierot.

— Lekarze obsługujący szpitale paryżkie wniosli do Rady Miejskiej petycję, proszącą o nieusowanie Sióstr Miłosierdzia z zajmowanych dotąd przez nie miejsc pielęgnowania i opatrywania chorych. Niemal wszyscy, bo z bardzo nieznanym wyjątkiem, są podpisani na tej petycji; szczególnie chirurgowie silnie obstają przy tem żądaniu.

— Przy ostatnich examinach w Uniwersytecie Paryżkim na stopień: „agregé“ między dwudziestu siedmiu kandydatami, którym to przyznano, znajdowało się kobiet piętnaście.

— Paryżkie stowarzyszenie malarek i rzeźbiarek otworzyło doroczną wystawę dzieł swoich, piątą z kolei, w d. 12 Lutego. Towarzystwo to zostało niedawno zaliczonym do pożytecznych dla kraju instytucji „de l'utilité publique.“

— „Związek kobiet francuzkich“ (Union des femmes de France) szlachetne stowarzyszenie z patriotycznym celem pieczy nad żołnierzami i majtkami francuzkimi, oraz z celem umoralniania ludu francuzkiego, rozpoczęło swe doroczne odczyty tygodniowe dla ludu w nowym pomieszkaniu na Chaussée d'Antin. Komissarz rządowy, Rochard, Generalny Inspektor zdrowia w wydziale marynarki, zagał posiadzenie przemówieniem, dziękującym stowarzyszeniu za jego działalność, której rząd mimo najszczerzej chęci nie mógłby poddać. Budżet Francji, tak jak każdego państwa, które musi oszczędzać, aby podatkami zbyt nie uciskać, zna tylko konieczne potrzebny i nie może wykraczać poza te granice — nie może wiedzieć co to jest uczucie, co przyjemnienie słodkie surowego obowiązku. *Gwiazdka*, jaką szlachetnie patriotycznego serca kobieta, Koechlin-Schwartz, przesłała żołnierzom francuzkim do Madagaskaru i Tonkinu, wywoływała uśmiech na usta, ale i łzy w oczach

najstarszych, najbardziej do żołnierskiego tułania się poświęcić przywykłych wiarusów. „Związek kobiet francuzkich“, trwający w licznych rozgałęzieniach swoich od czasów wojny prusko-francuzkiej, liczy 5000 kobiet, czynnych osobliście w najszlachetniej obywatelski sposób, bo dbający o moralność, o utrzymanie pocziwych uczuć w obrońcach Francji.

— Trzy angielskie Siostry Miłosierdzia (Nursing Sisters) otrzymały oznaki honorowe za świątobliwe prace swoje na polach bitew. M. Burleigh otrzymała wojskowy medal egipski za Suakin; S. Browne, i E. Wright, za Sudan. Towarzyszył temu własnoręczny list królowej, do każdej z wymienionych, wyrażający szlachetne to zdanie, że waleczność nie zaznacza się jedynie w krwawem starciu bitew, że jest ona zarówno cnotą kobiety jak mężczyzny, silnie związaną z uczuciem obywatelskiem, które bez niej istnieć nie może. I kobieta zatem jest obowiązana do waleczności. Królowa Wiktorya dość mdła w swoich literackich utworach, umie przecież znaleźć słowo gorące w przemówieniach tego rodzaju; jest uczuciową i wzruszenie serca staje jej wtedy za talent.

— Miss Joanna Augusta Goold, Irlandka otrzymała od ubogich współrodaczek swoich z okolic Limeryku adres dziękczynny za wprowadzenie tam przemysłu pończoszniczego. Wyrób mocnych i pięknych pończoch nicianych, dla którego ubogie miasteczko Athea, stało się punktem handlowym, zaczyna się coraz rozszerzać i daje biednym robotnikom zarobek, chroniący od głodowej nędzy. Kobiety starsze i niedorośle dzieci robią grubsze bawelniane i wełniane pończochy. Joanna Augusta marzy o *Lidze Przemysłowej* kobiet irlandzkich, niedopuszczającej do kraju z zagranicy nic z takich wyrobów, którem poddać może ręka kobiety. Adres dziękczynny opisuje w tklivych, wzruszających słowach szczęście kobiet, gdy zapomocą ich pracy trochę dobrobytu zajrzało do chat ubogich, (przeważnie bez okien, aby nie płacić podatku, który się od okien pobiera), gdy mogły wilią Bożego Narodzenia i sam dzień świąteczny obchodzić z pewną uroczystością pobożną, zapalić w każdej chacie świecę, przedstawiającą jakoby światło Gwiazdy Chrystusowej.

— Żona węgierskiego historyka Zerffi, zamieszkującego w Anglii od 1848 r., miewa obecnie odczyty, (co Piątek przez cały bieżący miesiąc), na tle osobistych swych wspomnień z czasów ostatniej rewolucji i wojny węgierskiej. Kobieta już siwa, jak gołąb, ale pełna najszlachetniejszego zapału i nawet piękna jeszcze, czarnooka, mówi dobrze i gorąco. A że przeszła wiele—wiele widziała i odczuła, w wielu rzeczach ogólnego interesu brała udział, odczyty więc te są ciekawe i licznie uczęszczane.

— Angielska pani, lady Trewor, otworzyła w dobrach swoich kawiarnię, co jest rzeczą bardzo rozpowszechniającą się w Anglii i w ten sposób kobiety angielskie walczą z pijaństwem. Kawa z wielkiem powodzeniem wypiera tam wódkę i herbata nie dorównywa nigdy w tym kierunku wynikom szczęśliwym, jakie sprowadza kawa. Pomyślnie oddziaływanie kawy na nerwy, zwłaszcza w klimacie tak wilgotnym, jak angielski, zostało tam uznane. Gdy wilgoć, która wyprowadza elektryczność z ciała, przenika człowieka i czyni go ociężałym, jakiegoś ożywczego środka potrzebującym, filiżanka gorącej, dobrze przyrządzonej kawy zastępuje wybornie wódkę, bez szkodliwych jej skutków. Angielskie kobiety wzięły się do walczenia z pijaństwem racjonalnie, to jest, nie opierając czynności swoich na samej stronie rzeczy moralnej, ale biorąc w ra-

chunek te usposobienia człowieka, które każą mu pożądać napojów wyskokowych. W Anglii leczy się nałogowe pijaństwo, jak chorobę, i są szpitale dla pijaków, tak, jak są dla rozmaitych chorób. Kobiety zatem powiedziały sobie, że należy bronić się przed pijaństwem środkami podobnej natury. Lady Trewor napisała i wydała broszurkę oświecającą w tym kierunku. Jest w niej bardzo rozumny, dobry i nawet piękny wstęp, zwracający się do kobiet, zwłaszcza do kobiet żon. „Żona może mężowi dać wszystko, od majątku aż do zbawienia. Najpierw szczęście domowe jest silną zaporą przeciw wszelkim złym pokusom, następnie rozumna baczność żony na kierunek życia męża i przyzwyczaję, których nabiera. „Tylko łagodnie!.. woła lady Trewor—łagodnie i delikatnie! Złośnica nigdy nie na nikim nie wywoła, nie od nikogo nie otrzyma, a przeciwnie drażniąc, unieszczęśliwiając, do złego popycha.“ Podobnie jest z niedelikatną, która nie umie uszanować wrodzonej człowiekowi dumy i ambicyi. Mężczyzna ma ją, zwłaszcza względem kobiet, w stopniu wysokim i żona powinna uszanować tę skłonność wrodzoną, która autorka angielska nazywa w zasadzie naturalną i prawidłową. Mężczyźni godzi się być mocnym, więc też boli to i rani jego miłość własną, skoro kobieta wytyka mu słabość i jawnie okazuje swoją nad nim wyższość i rzędu potrzebę. Kochająca nigdy się tego nie dopuści: „miłość uczy kobietę delikatności“ więc też ani kochanemu mężczyźnie wyższości swojej nie pokaże, ani nie pozwoli ludzom domyślać się, że ją posiada — że prowadzi go. Kocha więcej siebie, niż jego, ta, która to czyni i nie umie być dumną w miłość swej; w przedmiocie jej wyboru.

— Signorina Lydya Poet, z Turynu, znana już czytelnikom pisma naszego osobistość, posiadająca wszystkie naukowe prerogatywy dla pełnienia urzędu adwokata, lecz niemogąca z tego korzystać z powodu, że adwokackie izby włoskie, nie chciały jej dopuścić do siebie—zaznaczyła się obecnie bardzo szlachetnym postępkim. Wiemy, że należała ona do międzynarodowego kongressu wziętnego, jaki niedawno odbył się w Rzymie, że przemawiała z rozumem i taktem, jak to poświadczyli nasi członkowie kongressu. Otóż przytomni tam adwokaci francuzcy, zapragnęli otworzyć przed signoriną Poet drogę, która zamkniętą jest dla niej w ojczyźnie i zaproponowali jej przesiedlenie się czasowe do Paryża, zapisanie do collegium francuzkich adwokatów, wczem zapewniali jej pomoc swoją i niewątpliwe powodzenie. Uznana raz za adwokata we Francji, zdobyłaby sobie na zasadzie praw międzynarodowych, rządzących stosunkami dwóch narodów, możliwość występowania przed kratkami sądowymi Włoch. Ale ona dziękując wdzięcznie za opiekę, odmówiła.

— Z dniem 1-m Kwietnia otwartą zostanie w Rzymie szkoła sztuk pięknych dla kobiet. Pomieszczeniem przy niej będzie oddział ornamentyki dekoracyjnej i tapicerskiej. Tapicerstwo jest jednym z rzemioł, więcej niż inne odpowiadającym kobiecie.

— W Padwie został otwartym kurs stenografii dla kobiet.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 13-ty powieści pod tytułem: **Wydzieńczony**, przez Łukasza Malet'a, przekład z angielskiego.

TREŚĆ. Pogawędka. — Bóży gniew, powieść (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Korrespondencya zagraniczna, Kraków. — Biała róża (dalszy ciąg), przez Narcyzę Żmichowską. — Nowiny paryżkie, (dokończenie). — Ruch muzyczny, przez Jul. Stattlera. — Kronika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje: Arkusz 13-ty powieści pod tytułem: **Wydzieńczony**, przez Łukasza Malet'a. — 34 wzorów ubiorów robót wraz z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycyą stołu.**